

Krystyna Aleksandra Dudzis
Gdańsk

Macierzyństwo – poświęcenie czy dar?

O ile słowo „macierzyństwo” jest w miarę jednoznacznie rozumiane, o tyle przeciwstawienie słów „poświęcenie” i „dar” może wydawać się mniej zrozumiałe, skoro obydwa pojęcia oznaczają tę samą, albo przynajmniej bardzo zbliżoną rzeczywistość. Jeśli „poświęcenie” oznacza poświęcenie się komuś/czemuś, czynienie czegoś z oddaniem, a słowo „dar” opisuje rzeczywistość podarowania czegoś lub darowania (np. długu), to obydwa określenia rysują obraz macierzyństwa w barwach zdecydowanie pozytywnych. Skąd zatem owo przeciwstawienie pojęć? Czy nie lepiej powiedzieć, że macierzyństwo to zarówno poświęcenie, jak i dar? Jeśli jednak pozostaniemy przy wspomnianym przeciwstawieniu, to które ze wskazanych pojęć występuje w roli „negatywnego bohatera”? Mówienie o macierzyństwie w kontekście wypaczeń jest niemal jak świętokradztwo. Jednak każdy dar czy poświęcenie, jeśli staną się bogiem, przeradzają się w demona udręczenia siebie i innych. Tymczasem „człowiek, będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej, jak tylko poprzez bezinteresowny dar z siebie samego” (KDK 24). W tym kontekście mówimy o posiadaniu siebie w dawaniu siebie. Jeśli akcent tego stwierdzenia pada na słowa „posiadanie” i „dawanie”, warto zauważyć pewną prawidłowość – nie można dać siebie, nie posiadając siebie!

Jeśli mam poczucie bycia osobą, to znaczy, że jestem osobna, żyję i rozwijam się w poczuciu własnej wartości i godności, i to niezależnie od okoliczności czy posiadanych atrybutów. Wszelkie braki w moim własnym poczuciu bycia osobą, bycia sobą wołają o rekompensatę, ponieważ natura nie znosi pustki. Owa rekompensata przybiera różne imiona, np. poświęcenie. Ale jak mogę poświęcić siebie, dać siebie, obdarować sobą, jeśli mnie nie ma? Co wtedy daję, czym obdarowuję, w czym się poświęcam? Widzimy więc, że macierzyństwo może być niekiedy dręczące, nie-

chciane, nieudolne, niedojrzałe, samotne, egoistyczne. Kiedy widzimy macierzyństwo niechciane, niszczące, macierzyństwo kobiety bez potrzeby bycia oblubienicą, widzimy zagubioną osobę.

Co zatem możemy zrobić, aby macierzyństwo było zarówno poświęceniem, jak i darem oraz przynosiło szczęście nam samym i naszym bliskim? Warto spojrzeć na siebie, na swoje funkcjonowanie jako matki, aby zweryfikować własną postawę wobec siebie i wobec najbliższych. Jeśli poniżej opisuję objawy chorego macierzyństwa, to tylko dlatego, aby każda z nas mogła, w miarę samodzielnie, postawić diagnozę i zdecydować się na leczenie.

Ofiarą naszego źle pojętego poświęcania się padają najczęściej najbliżsi – mąż i dzieci. Bywają kobiety, matki, dla których wiecznie bolący krzyż i głowa są jakby termometrem mierzącym poziom ich miłości wobec domowników. Myślą sobie: „Jak bardzo muszę ich kochać, skoro tak się poświęcam”. W takim postępowaniu jest sporo, często nieuświadomionej, chęci sprawowania władzy nad domownikami oraz budowania swojej fałszywej wartości na budzeniu poczucia winy u innych. Taka matka czeka w nocy, z wiecznie podgrzewanym obiadem na powrót z imprezy dorosłego syna, który do tego momentu dobrze się bawił, i wcale nie jest głodny, ale musi poczuć się winny, ponieważ matka z jego powodu niedosypia i tak bardzo się dla niego poświęca. Gdyby jej to odebrać, znalazłaby się w pustce, doznałaby lęku – nie istnieje przecież jako samodzielny byt, lecz wyłącznie dzięki istnieniu najbliższych. Gdyby nie oni, jej by nie było! Ponieważ inni są dla niej niezbędni, będzie stwarzała takie sytuacje, aby to ona była niezbędna. Tymczasem prawdziwe życie rodzinne jest inne. Jesteśmy sobie potrzebni, bywamy niezbędni. Niektóre kobiety-matki zachowują się tak, jakby wiedziały, co dla każdego w rodzinie jest najlepsze i tylko one potrafią wszystko dobrze zrobić. W rezultacie takiego postępowania wszyscy w rodzinie, na czele z mężem, mężczyzną – wycofują się, zostawiając kobietę samą i osamotnioną na polu bitwy, udręczoną i bez wsparcia, a co za tym idzie – wiecznie zrzędzącą i niezadowoloną! Taka matka doskonale czuje się w roli ofiary, stając się jednocześnie dręczycielką innych. Przykład takiej nieszczęsnej postaci opisał C. S. Lewis w książce *Cztery miłości*: „Mam w tej chwili na myśli panią Fidget, która umarła kilka miesięcy temu. Aż dziwne, jak jej rodzina poweselała. Wyraz napięcia znikł z twarzy męża, zaczyna się nawet uśmiechać. Młodszy syn, którego zawsze uważała za stworzenie zgorzkniałe i opryskliwe, wykazuje całkiem ludzkie cechy. Starszy, który tylko nocował u rodziców, teraz prawie stale jest w domu i zajął się ogrodem. Cóрка, o której zawsze mówiła, że jest wątła, bierze teraz lekcje jazdy konnej, potrafi przetańczyć całą noc i może grać w tenisa dowolną ilość godzin. Nawet pies, którego wyprowadzano na dwór tylko na smyczy, jest teraz

popularnym członkiem Klubu Latarni na ulicy. Pani Fidget mówiła bardzo często, że żyje wyłącznie dla swej rodziny. To nie było kłamstwem. Robiła sama wielkie pranie, choć prała źle i mogła sobie pozwolić na oddawanie bielizny do pralni; błagali ją często, żeby tego nie robiła. Ale prała nadal. Każdy, kto był o danej porze w domu, dostawał gorący lunch, a wieczorem była zawsze gorąca kolacja (nawet w pełni lata). Błagali, żeby nie przygotowywała takich posiłków. Zapewniali, niemal ze łzami, że lubią zimne dania (co było prawdą). Nie odnosiło to żadnego skutku. Żyła dla swojej rodziny. Jeśli ktoś z domowników wracał późno, czuwała zawsze, obojętne czy to była godzina druga, czy trzecia w nocy – witała go wyczekująca, szczupła, blada, zmęczona twarz matki, wyrażająca nie-me oskarżenie. Znaczyło to oczywiście, że nieprzyzwoitością byłoby często wychodzić z domu. (...) Bo pani Fidget – jak często mawiała – gotowa była «urobić sobie ręce do krwi» dla swojej rodziny. Nie mogli jej powstrzymać. A ponieważ byli przyzwoitymi ludźmi, nie mogli również spokojnie patrzeć, jak ona pracuje. Musieli pomagać. Prawdę mówiąc, musieli stale pomagać. To znaczy robić różne rzeczy, żeby jej dopomóc w robieniu różnych rzeczy dla nich, na które oni nie mieli ochoty. (...) Pastor powiedział: «Pani Fidget spoczywa teraz w spokoju». Miejmy nadzieję, że tak jest. A że jej rodzina też ma teraz spokój, to już rzecz najzupełniej pewna”.

Zamiast pytania o macierzyństwo w kontekście poświęcenia czy daru, postawiłabym pytanie: macierzyństwo udręczone czy radosne? Każdy woli matkę radosną. Dlatego warto zatrzymać się nad tematem profilaktyki syndromu „wypalenia”. Matka to „kobieta wielozadaniowa”, zatem inicjatywa i twórczość również są jej cechami. Kobieta, jeśli chce, znajdzie pomysł i sposób na „okienko”, oddech, na czas własnego rozwoju, na przyjemność i relaks. Wiele matek, choć może poświęcić czas sobie – nie pozwala sobie na to. Dlaczego? Skąd się bierze ta potrzeba dręczenia siebie i innych? Dobrze jest uświadomić sobie, że nasze macierzyństwo rodzi się na gruncie historii naszego życia, na bazie wzorców, które nas ukształtowały. Gdzie leży przyczyna tego, że nie posiadamy siebie, aby w wolności i poczuciu szczęścia móc dawać siebie?

Dar i przyjęcie obdarowania, dawanie i przyjmowanie, nie jest handlem wymiennym, lecz harmonią, relacją i spotkaniem. Czy nie tego oczekujemy od życia rodzinnego? Łatwiej będzie nam to zrozumieć, jeśli odpowiemy sobie na pytanie o źródło rodzicielstwa, macierzyństwa i ojcostwa. A źródłem tym jest oblubieńczość – czyli wzajemne obdarowanie, dawanie i branie, posiadanie przez dawanie. Nie ma drugiej takiej relacji, w której dwie osoby czynią sobie nawzajem dar siebie. Dynamiką oblubieńczości jest przekraczanie granic wolności w porządku miłości. W procesie wychowania chcemy doprowadzić do tego, aby dzieci posiadały sa-

moświadość, aby nauczyły się radzić sobie same i, posiadając siebie, umiały siebie dawać. Wtedy abdykujemy, stajemy się zbędni. Naszą nagrodą jest ich samodzielność, to, że będą umiały pomagać innym, że same będą potrafiły wejść w relację dawania i brania, a gdy przyjdzie nasza starość, będą chciały i umiały przyjść nam z pomocą. Dlaczego? Ponieważ nauczyły się tego we wczesnym dzieciństwie i w czasie dojrzewania. Nauczyły się tego, że mama też ma prawo odpocząć i wtedy trzeba jej usłużyć; nauczyły się tego, że mama też ma własne zainteresowania i czas przeznaczony na swój rozwój. Naszą nagrodą jest relacja z mężem, która nie musi być uśmiercana z chwilą przyjścia na świat dzieci, bo gdy one odejdą z domu, my pozostajemy i wciąż na nowo jesteśmy dla siebie atrakcyjni.

Jak to zrobić, aby, dając siebie, nie opuszczać siebie? Trzeba być macierzyńsko dobrą również wobec siebie. Co to oznacza w praktyce? Świat jest pełen tęsknoty za matczyną energią, za ciepłem, troską. Mówi się o kobiecie, że jest stworzona do tego, aby nosić i rodzić to, co ludzkie. Wszyscy potrzebujemy matczynego uśmiechu, który uszczęśliwia, bo kobieta ma łaskę niesienia pociechy i jest obdarzona intuicją żywego kontaktu z osobą. „Kobieta odziana w słońce” (por. Ap 12,1), a dziecko parafrazuje te biblijne słowa, mówiąc: „Mamo, jest w tobie tak jasno”. Podobą się nam taka wizja macierzyństwa, kobiecości i nic nie stoi na przeszkodzie, aby ją zrealizować. Jedyną przeszkodą jestem ja sama, ale również ja sama mogę podjąć decyzję o wejrzeniu w siebie, o zdiagnozowaniu własnych braków, pustki i podjąć leczenie swojej osoby. Na zmiany nigdy nie jest za późno. Czasem trzeba skorzystać z pomocy, ale zmiany są do osiągnięcia, bo Dawca Życia jest dawcą pozytywnej przemiany.

W powyższych rozważaniach była mowa o tym, co jest źródłem rodzicielstwa i oczywiście macierzyństwa. Wiemy jednak, że życie nie zawsze poczyną się i rodzi jako owoc wzajemnej przynależności dwojga, ukochania w dawaniu i w braniu. Jaki los czeka zatem to macierzyństwo, które rodzi się bez oblubieńczości? Czy jest to macierzyństwo z góry skazane na niepowodzenia? Spójrzmy zatem na bycie matką w kontekście tego braku. Rozpatrzmy każdą rzeczywistość z osobna, zobaczmy szanse i zagrożenia.

Zacznę od sytuacji najbardziej drastycznej i najbardziej świadomej. Mamy z nią do czynienia wtedy, gdy kobieta chce być matką, lub inaczej – chce mieć dziecko – ale nie chce się wiązać, nie chce wejść w trwałą relację oblubieńczą. Nie chce, bądź nie umie. Ale chce dziecka. Tymczasem dziecko to przede wszystkim relacja! Jaka zatem będzie to relacja? Taka matka, jeśli chce dawać, posiadając siebie, potrzebuje odpowiedzieć sobie na wiele istotnych pytań. Potrzebuje stanąć na gruncie prawdy o sobie, o swojej pustce, oczekiwaniach i to w kontekście drugiej osoby, którą przywołała do życia.

Kolejny dramat, związany z macierzyństwem, to macierzyństwo bez oblubieńczej relacji, macierzyństwo nieplanowane i niechciane. Macierzyństwo brutalnie narzucone. Jakże tu znajdziemy powiązanie między poświęceniem a darem? Nie jest darem akt poczęcia. Ale czy osoba, dziecko i cała jego przyszłość może stać się darem? Tak, dzięki dobrze rozumianemu poświęceniu może stać się darem niezastąpionym.

A jak ustosunkować się do macierzyństwa oblubienicy, która nie rodziła (lub wciąż roniła)? Tam, gdzie jest relacja wzajemnego oddania, a nie ma dziecka, tam pragnienie macierzyństwa, pragnienie poświęcenia się również urasta do rangi dramatu. O tym doświadczeniu mówimy w kategoriach krzyża i bólu, pragnienia i pustki, oczekiwania, ale również nadziei. Można skoncentrować się na braku i stracie, zatrzymać się na własnym udręczeniu, ale można też rozwijać to, co mam do dania, w czym mogę stawać się darem i jakie dary mogę przyjmować. Jeśli posiadam siebie, znajdę sposób, aby siebie dawać. I świadomie nie podaję w tym miejscu żadnych przykładów, ponieważ życie jest bogatsze nawet od naszej wyobraźni. Warto zapamiętać stare powiedzenie, że „Pan Bóg nawet gdy zamyka drzwi, to jednocześnie otwiera jakieś okno”.

Zatrzymam się na problemie straty i bólu. Jeśli nie ma rozwoju, a jest wyłącznie cierpienie, poczucie braku, niższej wartości i upokorzenia, zaczyna brakować tam miejsca na inicjatywę i nadzieję na przyszłość. Tymczasem trzeba przeżyć do końca ból rozstania, straty oraz żalobę. Pożegnanie z pragnieniem fizycznego macierzyństwa również nie jest łatwe, lecz owo „upokorzenie” cielesne woła o pokorę wiary. Nasze pragnienie przyciąga spojrzenie Boga, bo łaska jest obecna tam, gdzie słabość i brak. Poza tym, akt wiary jest płodny ze swej natury, zawsze rodzi życie. W modlitwie Anny wołającej do Boga o syna słyszymy obietnicę: „niepłodna rodzi siedmioro” (1Sm 2,5). U Izajasza czytamy: „Śpiewaj z radości, niepłodna, któraś nie rodziła, wybuchnij weselem i wykrzykuj, któraś nie doznała bólów porodu! Bo liczniejsi są synowie porzuconej niż synowie mającej męża, mówi Pan” (Iz 54,1). Ponieważ jednak natura nie znosi pustki i prawdą jest stwierdzenie, że każda kobieta wezwana jest do macierzyństwa, należy zastanowić się nad owym wezwaniem w stosunku do kobiet z różnych przyczyn bezdziejnych. A przyczyn jest tyle, ile historii poszczególnych kobiet. Owo wezwanie jest prawdą, ale prawdą jest też stwierdzenie, że nie każda kobieta musi zostać biologiczną matką. Niemniej jednak macierzyństwo zawsze rodzi się z posiadania siebie, ponieważ tylko osoba zdolna jest do relacji, która daje płodność naszemu życiu. Mówi się, że kobieta zawsze może być macierzyńsko dobra, macierzyńsko dająca siebie i poświęcająca się macierzyńsko – zawsze komuś! Zawsze personalnie i podmiotowo. Przypomnijmy sobie cechy matki – czy tak trudno zastosować je w życiu codziennym, wobec innych? Nawet obcy

nam człowiek, spotkany może tylko raz w życiu w autobusie, może zostać obdarowany naszym macierzyństwem i to bez względu na to, czy rodziłam dzieci, czy też nie. Macierzyństwo jest twórcze, bo twórczość i inicjatywa, to cechy matki, które pozwalają jej rodzić życie w każdej sytuacji. Wprawdzie nic nie zastąpi kobiecie biologicznych aspektów noszenia i rodzenia, tych specyficznych zmian w ciele, przemian hormonalnych, porodu, naturalnego przeniesienia punktu ciężkości z siebie na dziecko, niepewności i lęku, euforii i uniesienia w czasie porodu, ale ponieważ natura nie znosi pustki, daje kobiecie to samo, lecz inaczej. Podobnie jak utrata jednego zmysłu rekompensowana jest silniejszym rozwojem innego. Można być zatem „matką inaczej”. Wystarczy, będąc kobietą, posiadać siebie, aby chronić, rodzić, rozwijać i usamodzielniać życie, aby życie ocalać. I każda z nas może znaleźć na to swój własny, niepowtarzalny i indywidualny sposób.

Każdy człowiek staje wobec konieczności zmierzenia się z własnym losem i historią swojego życia. Jak zmierzyć się z prawdą, z moim „tu” i „teraz”? Podobne pytania zadają sobie rodzice, w tym matki, dzieci specjalnej troski. Niewątpliwie ich macierzyństwo obciążone jest wyjątkowo ciężkim krzyżem. Granice poświęcenia sięgają często poziomu heroizmu. Jak w takich sytuacjach nosić swój krzyż „z elegancją”? Jakiegokolwiek imię przybiera moje macierzyństwo, jakimkolwiek krzyżem zostaje obciążone – krzyżem nadmiaru czy braku – zawsze zaczyna się i realizuje przeze mnie, przez moje posiadanie siebie.

Powinniśmy zatrzymać się również nad dramatem kobiety, która była oblubienicą, stała się matką i została porzucona, zdradzona, opuszczona lub sama „wyemigrowała” z oblubieńczej relacji. Nad tzw. samotnym macierzyństwem, które zrodziło się nie z lęku przed relacją, lecz z relacji nieoblubieńczej, czy niewystarczająco oblubieńczej. Ileż tu płacze się żalu, upokorzenia, braków, rozlicznych, codziennych trudności, zagubienia i utraty własnej wartości. A w tym wszystkim jest jeszcze dziecko lub dzieci. Trafnie ujmuje tę sytuację Karol Wojtyła w dramacie *Przed sklepem jubлера*: „Tego wieczoru musiałam zrozumieć, Andrzej, jak bardzo my wszyscy ciążyśmy nad ich losem. Oto dziedzictwo Moniki: pęknięcie tamtej miłości zatrzymało się w niej tak głęboko, że własna miłość zaczyna się też od pęknięcia. Krzysztof próbuje goić. W nim przetrwała miłość twoja ku mnie, lecz także twa nieobecność – lek miłości do nieobecnego. Lecz to nie jest nasza wina. Staliśmy się dla nich progiem, poza który przechodzą z wysiłkiem, by znaleźć się w nowych mieszkaniach – w mieszkaniach własnych dusz. Dobrze chociaż, jeśli się nie potkną – żyjemy w nich bardzo długo”.

Powraca więc pytanie o poświęcenie i dar. Każde rozdarcie przenosi się na potomstwo. Im szybciej kobieta się pozbiera, im szybciej zainwe-

stuje w sobie, aby na nowo siebie odzyskać, aby posiadać siebie, tym szybciej jej poświęcenie się będzie darem, nie zaś udręką. Warto wczytać się w biblijną historię Hagar (Rdz 16). W historię kobiety, matki wykorzystanej i zdradzonej, kobiety, która niemal się poddała, utraciła poczucie własnej wartości, czuła się upokorzona do granic ludzkiej wytrzymałości. Lecz anioł – Ktoś – przyniósł jej pocieszenie i wsparcie. Dzięki pomocy odnalazła w sobie siłę i odbudowała poczucie godności, które zachowała bez względu na okoliczności życia, opinię ludzką i własne atrybuty. Są sytuacje w naszym życiu, kiedy potrzebujemy „kogoś”, drugiej osoby, relacji, która przyniesie nam wsparcie. W takiej relacji jest bardzo wiele z macierzyństwa – ratowanie, ochranianie, wzmacnianie, budowanie. Każda kobieta w podobnej sytuacji przechodzi przez gehennę rozlicznych emocji. Poczucie bycia wykorzystaną i porzuconą rodzi złość na mężczyznę, a to nie pozostaje obojętne na relację do dzieci. Potrzebna jest „pustynia”, na której znalazła się Hagar, aby skonfrontować się z własnym cierpieniem, z pragnieniem i z głodem, aby owo pragnienie i głód nazwać po imieniu. Trzeba też skonfrontować się z własnym poczuciem winy i spojrzeć na nią realistycznie. Dojście do takiego punktu, od którego można zacząć wszystko od nowa i to nie jak skrzywdzone dziecko, lecz jako matka wielkiego narodu. Hagar tworzy na nowo swoją historię. Trzeba zatem przejść przez pożegnanie, rozstanie z własną wizją, przez żalobę po życiu, które było i które mogłoby być. Dopiero wtedy można na nowo uczyć się dawać miłość, nie będąc kochaną, będąc nawet zranioną w miłości. Dopiero wtedy kobieta nie będzie wylewać swojego żalu na dziecko, nie będzie zastępować utraconego kochanka dzieckiem, nie przeleje potrzeby miłości na dziecko, topiąc je w swoim żalu. Taka przemiana rodzi nową tożsamość, wytrzymałość i wytrwałość. Kobieta przetrwa dzięki odnalezieniu na nowo swojej godności i w ten sposób ocali swoje macierzyństwo. Zamieniając swoje rany w perły, staje się obdarowującą. A doświadczenie bycia opuszczoną stało się wezwaniem, aby nie opuszczać samej siebie, również dla innych kobiet i matek. Tak pisze o tym doświadczeniu Sigrid Undset w *Madam Dortha*: „Za każde urodzone dziecko płaciła częścią swej młodzieńczej urody: aksamitem różanych policzków, perłowym lśnieniem zębów, blaskiem oczu. Piersi zwiotczały, a ciało straciło dawną smukłość i jędrność. A jednak odczuwała często zadowolenie właśnie dlatego, że życie złożyło na niej swe ślady”.